

Bilans literatury polskiej 1918–2018

*

1. Jak zmieniło się w ciągu wieku podejście twórców literatury polskiej do materii pisarskiej?

Nie jestem literaturoznawcą, lektury zawsze dobierałem na zasadzie „podobania się”, a nie systemowo, dlatego moje spojrzenie, interpretacje i poglądy są oparte na kryteriach osobistych, to znaczy bardziej przyjemnościowych niż fachowych. Moim zdaniem największe zmiany zaszły w latach 30., potem (z pominięciem socrealistycznej szmiry) zaraz po roku 1956, wreszcie w drugiej połowie lat 70.

Jednym z pierwszych „poważnych” polskich utworów prozatorskich, które przeczytałem w życiu, była *Lalka* Prusa, wkrótce po niej był *Generał Barcz* Kadena-Bandrowskiego, wtedy rzeczy trudne dla mnie do zrozumienia, bo byłem dzieckiem. Potem był Sienkiewicz i (już trochę pod wpływem szkoły) powieści Żeromskiego. Wdrażałem się, że tak powiem. Poruszyły mnie Syzyfowe prace (byłem wściekły na przyczyny degradacji moralnej Marcina Borowicza w konfrontacji z kolegą protestującym przeciw kłamstwu głoszonym przez rosyjskiego nauczyciela; do dziś mi się to w różnych odmianach fabularnych i personalnych śni), ale prawdziwy wstrząs przeżyłem, kiedy przeczytałem *Wspólny pokój* Uniłowskiego oraz *Zazdrość i medycynę* Choromańskiego. Te dwa utwory otworzyły mi oczy na możliwości prozy, zasygnalizowały, że – jak to kiedyś określił Henryk Berezka – można w niej używać języka nie tylko prozatorskiego, lecz także innego, poszerzonego, a więc – jak to sam określam – „własnego, najlepiej siedzącego w moich niepowtarzalnych ustach”. Przede wszystkim, uświadomiłem sobie również dzięki Worcellowi (*Zakłęte rewiry*) – i już wcześniej, bo w „*Lalce*” urzekło mnie to, że polska proza potrafi sięgnąć także w głąb społeczeństwa, oderwać się od szekspirowskiego schematu, według którego wszystko, co ważne, musi się dziać na szczytach władzy, w górnych partiach państwa, w arystokracji itd. O otwarciu prozy na nowe sposoby narracji zadecydowały próby korzystania z poszerzonego słownictwa i rozluźnionej gramatyki (zwłaszcza w dialogach), które dały ogromne (w porównaniu z wcześniejszymi) możliwości wyrazu. Jeszcze przed wojną były trochę nieśmiałe, ale już widoczne. Podejrzewam, że wpływ na to miały przemiany w poezji, zwłaszcza dramatyczne próby oderwania się od modernizmu w kształcie nadanym przez Młodą Polskę i zniesienia rygorów tego, co w poezji właściwe, a co nie. Miało to paradoksalnie związek z ugruntowaniem się pozycji Skamandra i zarazem Awangardy Krakowskiej. Oba kierunki, mimo deklarowanej sprzeczności celów, zmierzały do odświeżenia literatury, a Awangarda dodatkowo miała wyczuwalne podłoże

polityczne, mocno lewicowe. Z jednej strony Skamander zaczął wprowadzać elementy języka dawniej „zakazane”, takie jak z zasady potoczna frazeologia i kolokwializmy, ale również zróżnicowaną tematykę, stosowanie frazy wynikającej z osobowości autora, a nie obowiązującego stylu, łącznie z sięganiem nawet do elementów kabaretowych (Tuwim) czy ludycznych i pogodnych, nazwałbym je „radującymi” (Wierzyński). Świadomość, że takie teksty są nie tylko tolerowane, lecz także wielbione przez czytelników, musiała bardzo ośmielać następców, o ile potrafili z tego skorzystać. Z drugiej strony Awangarda ośmieliła pisarzy (prozaików i poetów) do przyjęcia postawy walczącej, agresywnej, z wnoszeniem maksimum treści i wyrazu zawieranych w minimum słów, zatem do oszczędzania słów, zwięzłości fraz, nośności metafory, eliminowania pustych treściowo wyrażań. Tendencje te nie miały czasu na rozwinięcie, bo wszystko zerwała wojna, a zaraz po niej jedynie Tadeusz Różewicz ciągnął ten dwukadłubowy wózek, czego i jemu też w końcu niejako zakazano, wprowadzając obowiązujący socrealizm. Po 1956 r. ujawniło się wielu pisarzy, przede wszystkim poetów ze Zbigniewem Herbertem i Mironem Białoszewskim, prozaików z Markiem Hłaską, Markiem Nowakowskim i Ireneuszem Iredyńskim, krytyków z Andrzejem Kijowskim, którzy odrzucając socrealizm, próbowali się przebić za spuścizną skamandrycko-awangardową i korzystać z niej. Uważam, że nie zanikł pierwiastek romantyczny, a nawet w niektórych realizacjach prozatorskich się nasilił. Trudno to wydobyć w kilku słowach i tu egzemplifikować, bo osobiste techniki stylistyczne różnych pisarzy nieraz bardzo skrzętnie to maskowały (na przykład Władysław Lech Terlecki, Janusz Krasiński, Józef Hen, Kazimierz Brandys, Andrzej Braun, Wiesław Myśliwski, a ze starszych Teodor Parnicki, Leon Gomolicki i dziesiątki innych), ale oczywistym faktem było wręcz pielęgnowanie tego pierwiastka. Podejrzewam, że sprzyjał temu ślad tkwiący w umysłach jak zadra, który pozostał po socrealizmie, a który – to kolejny paradoks – był w moim mniemaniu odmianą romantyzmu podlaną obficie sosem heglowsko-marksistowskim, który dość często z romantyzmem się rozprawa pozornie (jak w klasyku Wandy Wasilewskiej *Ojczyzna*), a zmianie uległy jedynie wymiar społeczny oraz podporządkowanie funkcji państwa, a ściślej – partii, i debilnie druzgocząca krytyka feudalizmu sprzężonego z kapitalizmem. Ogólny ton miał podłoże właśnie takie, z pierwszej połowy XIX wieku, sprzed pozytywizmu, tylko w zakresie hierarchii przedstawianego społeczeństwa zsunięte w dół. Być może decydująca o wszystkim władza chciała, aby ludności ta twórczość jednak się podobała, a że ludność była wychowana na romantykach i ich spadkobiercach, takich jak zestawiani w jednym szeregu Mickiewicz, Słowacki i Sienkiewicz, sprawa wydawała się przypieczętowana. Stan modernizmu z lat tuż po Październiku przedłużał się, niektórzy uważają nawet (przychylam się do tej tezy), że trwa do dzisiaj, a to dlatego, że pojawiające się w drugiej połowie lat 70. tendencje postmodernistyczne nie umiały się dobrze zakorzenić ani w prozie, ani przede wszystkim w poezji, która decydowała o ogólnym wyrazie, o tendencji stylowej całej literatury.

Sporo zamieszania wprowadziła Orientacja Poetycka Hybrydy, która w przeciwieństwie do rzeczywistej świadomości narodowej i politycznej większości młodych twórców była zanadto lewicowa, a w każdym razie zbyt mocno sprzyjała władzy. Pusta wewnętrznie poezja tej formacji w sumie była zdradziecka, ponieważ nieprawdziwie oddawała to, co myśleliśmy ja i moje pokolenie – tak to odbierałem. Także w pewien sposób oszukańczy, ponieważ podparła się autorytetami, które gdyby żyły, na pewno by zaprotestowały, takimi jak Cyprian Kamil Norwid.

Na początku lat 70. szczęśliwie pojawił się ożywczy prąd, który wymiółł Orientację, nazwany trafnie Nową Falą (Julian Kornhauser, Stanisław Barańczak, Adam Zagajewski, Jerzy Kronhold, Wit Jaworski, Stanisław Stabro, Paweł Heszten, Ryszard Krynicki, Krzysztof Karasek, Leszek Szaruga, Jarosław Markiewicz i inni, późniejsi) i właściwie on ostatecznie ukształtował to, co w głównym nurcie poezji dzieje się do dzisiaj, choć pozornie z nowofalowej stylistyki i treści nie zostało prawie nic. Został jednak ogólny kształt, wyraz, klimat tamtej poezji, sposób myślenia poetyckiego, pod względem formy trochę skojarzony z „różewiczyzmem” („leci Różewiczem”, mówi się złośliwie o autorze piszącym długie wiersze o krótkich liniijkach), otwarty na wszystko, co rzeczywiste i prawdziwe, nieunikający gier językowych, mówiący wprost, co się społeczeństwu i prostemu człowiekowi ma prawo w państwie polskim podobać, a co nie, ale także penetrujący indywidualne, osobiste problemy psychologiczne i moralne, nawet skupione jedynie na sobie (powstała odmiana spersonalizowanego stylu nowofalowego, zwana „nową prywatnością”).

Nie unikaliśmy zalewu grafomanii poetyckiej, który przybierał na sile już w połowie lat 90. i podtrzymuje potop do dzisiaj. Drukować jest łatwo, może to robić każdy, kto pójdzie do pobliskiej drukarni cyfrowej i ma parę złotych w kieszeni. Niestety prawdziwie dobra poezja zginęła przytłoczona tysiącami tytułów bezwartościowych. To tragedia wielu wspaniałych poetów. Zostali nakryci przez cudaczne i szmaciane tomiki niczym całunem. Szarańczy grafomanów nauczyła się pisać teksty imitujące dobrą poezję. Na tym polega nasz obecny kłopot. Umieją to robić. Na widoku publicznym (czytaj: prasowym) ostały się tylko najgłośniejsze nazwiska, a nowi zdolni prawie nie mają szans na zaistnienie. Ratunek w dobrych redaktorach dobrych wydawnictw i czasopiśmie. To oni powinni dokonywać zdrowego odsiewu.

(Poezja Czesława Miłosza, mająca korzenie w połowie XIX wieku, szczególnie w Mickiewiczu, i niemal w pełni osobna Wisława Szymborskiej, a także kazus św. Karola Wojtyły – poety, to zjawiska, które w tej wypowiedzi się nie mieszczą, bo są zbyt obszerne, a nie mają ścisłego związku z pytaniami ankiety; muszę je więc pominąć).

Proza przeżywała te czasy inaczej. Umocniony przez poszerzenie bazy leksykalnej i tematycznej modernizm pozostał w najogólniejszych zarysach sobą w zasadzie do dziś, ale do głosu doszła tendencja sięgania do źródeł językowych, tematycznych, psychologicznych i moralnych zawartych w doświadczeniu życiowym własnym autorów, a traktujących źródła cudze lub wymyślone *ex nihilo* jako kłamliwe, nieprawdziwe, sztuczne lub co najmniej wątpliwe. Myślę, że właśnie to podchwycił i bezbłędnie

wykorzystał do uwidocznienia pararuchu literackiego Henryk Bereza. To on wyłapywał pisarzy pewnego rodzaju, bardzo uzdolnionych, samodzielnych i niezależnych od stylów i tendencji, piszących sobą i siebie, akceptujących style i odmiany języka, które odpowiadają ich psychice, a odrzucających inne, z talentem przetwarzających materię rzeczywistości w wiarygodny opis tego świata, autorów przeważnie początkujących.

Recenzował ich i komponował teorię nowej prozy. Teoria ta okazywała się coraz bardziej spójna i możliwa do sprawdzenia na przykładach. W wiarygodnym skrócie opisał swoje boje i je uzasadnił w eseju pod tytułem *Powtórzenie*, drukowanym w tomach *Bieg rzeczy* (1982) i *Sposób myślenia* (1989). To wymienieni tam autorzy, bardzo różni pod względem pisarskim (to były i nadal są wielkie indywidualności), młodzi i także odrobinę starsi wiekiem, jak Edward Stachura czy Marian Pilot, lecz niekoniecznie mający duży staż, stanowili rodzaj „stajni Berezy”, w znacznej części reprezentującej zjawisko, nazwane przez niego „rewolucją artystyczną”, które miało dość nieostrą cezurę czasową. Oponenti klęli w żywy kamień, rzucali oskarżenia i potwarze, ale czytać „Berezowych ludzi” nie chcieli. Mieli swoje lektury, lepsze. Berezę konformistycznie starano się wykluczyć, nikt bowiem sam nie chciał ryzykować środowiskowego wykluczenia siebie, nawet jeśli wiedział, że chodziłoby o świadczenie za prawdę. Bardzo zaszkodzono w ten sposób wiedzy o literaturze również dzisiejszego czasu, gdyż właśnie tamci pisarze mieli duże znaczenie dla tego, co w prozie mamy dzisiaj, a to jest negowane. Sam Bereza także nie był zupełnie bez winy, ponieważ przyjmował pozę księcia literatury, którego słowo jest święte, a także początkowo pomijał twórczość pojawiających się nowych autorów lat 80., na przykład Stasiuka czy Tokarczuk.

Krytycy, literaturoznawcy i zastani pisarze przeważnie nic z tego nie rozumieli, traktowali Berezę lekceważąco lub nawet wrogo, a jego faworytów z kpinką lub gniewnie, nie czując, że zapoznanie się z tą literaturą może przynieść im wymierne korzyści, ponieważ jest naprawdę wartościowa, ba, wtedy była i atrakcyjna czytelniczo (dziś to radykalnie zbłądło, ale wciąż są nowi zwolennicy). Ciekawe, że jednym z najlepszych pisarzy tej grupy był Jan Drzeżdżon, i to jego wyśmiewano; był opluwany przez ludzi, którzy nie przeczytali ani jednego jego słowa. Po prostu żył na kaszubskim uboczu i nie miał takiego zasięgu jak mieszkający w Warszawie czy Krakowie, którzy mogli przyjść i wałnąć pięścią w stół, jeśli nie w oponenta. Nie zauważono, że w wielu elementach właśnie on wyprzedził główne tendencje (z realizmem magicznym na czele) literatury iberoamerykańskiej, że wprowadził składniki postmodernistyczne, takie jak ostrożne i „wiarygodne” reinterpretacje historii czy mitów. W stajni Berezy Drzeżdżon nie był oczywiście jedyny.

Wiele dobrego można powiedzieć o czujności rozpoznawczej Henryka Berezy i jego pozytywnych wnioskach wynikających z analizy prozy mniej czy bardziej „rewolucyjnych”: Andrzeja Łuczeńczyka, Romana Wysogłda, Krystyny Sakowicz, Józefa Łosińskiego, Marka Słyka, Andrzeja Turczyńskiego, Dariusza Bittnera, Ryszarda Schuberta,

Janusza Andermana, Marka Sołtysika, Donata Kirscha i wielu, wielu innych. Ciekawe, że z pewnych względów formalnych do tej grupy można by zaliczyć nawet starca Leopolda Buczkowskiego, który w swych poszukiwaniach prozatorskich szedł tropem trochę podobnym do Mirona Białoszewskiego, a jak sugeruje Bereza, być może czerpali z niego, w kwestii językowych nowości, Słyk, Bittner, Kirsch i inni. Nie penetrował jednak ani nie tworzył tak ciekawie jak oni nowej semantyki. To jednak pisarz z innej przegródki. Złośliwie, gdyż jak inaczej to określić, przypisywano prozie tych pisarzy cechy socjaparnasizmu, twierdząc, że ukradkiem przypochlebia się komunizmowi. Nic bardziej fałszywego, było dokładnie odwrotnie. To proza ogromnie zróżnicowana gatunkowo (od biografistyki po czystą fantastykę), stylistycznie, leksykalnie, i co najważniejsze ideologicznie. Nie dostarczała władzom żadnego alibi. Znam większość tych autorów osobiście i wiem, co mówię; jeśli już grali z komuś, to nie jako jej zwolennicy czy oportuniści. Ich twórczość stosowała bowiem pogłębione techniki uników i aluzji, nieraz wprawiające cenzurę w prawdziwy kłopot diagnostyczny.

Krach nastąpił z ogłoszeniem stanu wojennego, który miał cechy likwidatorskie w wielu dziedzinach, także w kulturze, a w literaturze w szczególności. Komunizm bał się prawdziwej literatury jak ognia i kropidła. Posunięto się nawet do likwidacji Związku Literatów Polskich (1983) i utworzenia związku nowego, kadłubowego, potocznie zwanego „złupem”. Uważam, że lata 80. zostały dla rozwoju literatury stracone, rewolucja artystyczna się załamała, postmodernizm nie znalazł poczesnego miejsca (może to i dobrze, bo nie jest to kierunek rozwijający estetykę i rozum) i choć od tamtego czasu do dziś powstało wiele znakomitych, wręcz wybitnych utworów, to nie spotkałem już próż odkrywczych formalnie, tematycznie czy stylistycznie.

Jeszcze gorzej działo się po wyborach czerwcowych w 1989 r. Pierwsze pociągnięcia rządu T. Mazowieckiego, a zwłaszcza Minister Kultury i Sztuki I. Cywińskiej (zapewne zgodne z jakąś do dziś nieujawnioną doktryną) w sprawie literatury i pisarzy polskich były dla następnych 29-letnich losów naszej literatury raczej zgubne niż pozytywne. Opisałem to kilka lat temu w paru pracach. Nikt nie protestował, wręcz przeciwnie, interesowano się tymi tekstami i je cytowano, więc chyba podałem prawdę. Znam ją z autopsji. Odsyłam na przykład do artykułu *Kryzys literatury w postmodernizmie wspomaganym przez lifestyle*, „Lamus” 2013, 1(11), s. 12–21.

2. Które gatunki prozatorskie i poetyckie cieszyły się największą popularnością w 1918 roku, a które są popularne teraz? Jakie są tego przyczyny?

Z biblioteki, którą rodzice przywieźli ze swego inteligenckiego i kulturalnego domu we Lwowie do Zielonej Góry w 1945 r., a na której zaczynałem swoją edukację, wnoszę, że mogły to być dzieła wielkich romantyków, też Sienkiewicza, Przyborskiego, Struga, Kadena-Bandrowskiego, Słoińskiego, Berenta; było sporo wspomnień, biografii i publikacji rocznicowych powojennych (1831, 1863), dużo ciekawych przekładów głównie z niemieckiego i francuskiego, mniej z angielskiego,

ale przede wszystkim znaczna liczba książek przygodowych, podróżniczych i kowbojskich Karola Maya i autorów mi nieznanych, zazwyczaj zupełnie poślednich. Sporo czytałem, tak zwanych romansów i „dzieł z wyższych sfer”. Drukowano tych rzeczy mnóstwo. Technicznie były odpowiednikami dzisiejszych pocketbooków i pewnie przeznaczenie miały podobne. Teksty to były często fatalne, mogły zadowolić tylko najbardziej niewybrednego czytelnika. Nazwiska autorów takich pozycji nic mi zresztą nie mówią, historia o nich milczy. Nasuwa się myśl, być może na wyrost i nieuprawniona, że rok ów sprzyjał przede wszystkim literaturze historycznej, poświęconej legionom, ukazała się mądra książka Piłsudskiego o powstaniu 1863 roku, utwory wspierające myśl o odradzaniu się Polski. Tego było najwięcej, a zaraz potem kilka broszur o wojnie z bolszewikami 1920.

Dzisiaj mamy sytuację zgoła odmienną: nikt nie myśli o wojnie i walce o niepodległość, ludzie zapomnieli i trzeba organizować rocznice, aby się dowiedzieli. Nastąpił odwrót od czytelnictwa, czego przyczynę upatruję w rozwoju nowych technik ludycznych, przede wszystkim obrazkowych, oraz w przyspieszeniu życia, rozwoju mediów społecznościowych i powiązaniem z tym masowym, bezpiecznym zbieraniem informacji osobistych o ludziach (za ich pełną zgodą), natłoku, chaosie i degradacji prawdziwości informacji typu prasowego. Wytworzyły się wzorce tekstologiczne, które w minimum słów zawierają maksimum treści atrakcyjnej fabularnie, ale banalnej intelektualnie, bo jest adresowana do odbiorcy mało wykształconego, za to masowego, gdyż jest to z założenia powiązane z dystrybucją reklamy.

Dzisiejszy czytelnik postrzega „nudę, rozwlekłość i pustostowie” (określenie użyte przez grupę moich studentów) u autorów nawet z lat całkiem nieodległych, bo 90., nie mówiąc o Sienkiewiczu czy Żeromskim, dla niego „pisarzach nieczytelnych”. Takim postawom czytelniczym wtórują niestety wydawcy i to oni dobierają do planów wydawniczych pozycje proste, łatwe i przyjemne, ignorując literaturę reprezentującą kulturę wysoką, zachęcającą do przeżywania emocji i uczuć, a także do myślenia. Na przykład proza Piotra Wojciechowskiego, która byłaby niezwykle atrakcyjna w latach 70. czy 80., dziś szuka oficyny, która zgodziłaby się wydać choćby nakład próbny. Księgarze we współpracy z hurtownikami biorą na półki „wyłącznie książki, które się sprzedadzą w ciągu dwóch tygodni, bo magazyn ma ograniczoną pojemność”. Słowa te, może nieco przesadne, dobrze ilustrują sytuację.

Dzisiejszy potencjalny odbiorca zaczyna oglądać książki od wyszukiwania elementów świadczących o tym, że nie jest nudna. Nie musi być mądra, piękna językowo, wystarczy, że się przy niej nie zasypia automatycznie. Sądzę, że tendencja preferowania łatwej literatury ulega powoli wyhamowaniu i następuje już trochę zauważalny nawrót do tego, co człowieka wzbogaca, a nie tylko bawi, nie tylko zabija czas. Pierwsze wciśnięcie hamulców w procesie zanikania czytelnictwa nastąpiło w momencie, kiedy zniknęły wypożyczalnie wideo, był to początek lat dwutysięcznych. Hamowanie trwało krótko, ale było zauważalne. Teraz następuje powolne rezygnowanie z nieustannego oglądania telewizji i uwaga czytelników przesuwa się do mediów społecznościowych,

które jednak niosą dużo więcej zachęt do czytania niż media dotychczasowe. Pojawia się samokontrola językowa i w zakresie wiedzy encyklopedycznej, czego dawniej nie było. Zmienia się też stosunek do gier komputerowych, nieśmiało, ale jednak zaczyna się powrót do gier planszowych i klasyków, takich jak szachy i brydż. Dzieje się to niejako według schematu, który mówi, że ludzkość musi się nasycić nowością, aby się nią w pewnym momencie znudzić.

Powyższe obserwacje odnoszę do prozy. Z poezją jest trochę inaczej. Potrzeba pisanie krótkich, zwięzłych form rejestrujących przeżycia była, jest i będzie zawsze. To sztuka obok rzeźby, obrazu i pieśni – bazowa. Funkcję tę pełni głównie mało artystyczne wierszowanie, które znalazło oparcie w Internecie. To tu młodzież uczy się pisanie wierszy i robi to całkiem nieźle, choć niestety jest to przeważnie zwyczajne naśladownictwo. Ująłbym to tak: powielane są dobrze napisane utwory dobrych poetów, potem się je wtórnie przekształca (w obawie o posądzenie o plagiat), ale w ten sposób transferuje powtórzenia, które stają się zbanalizowane, oparte na schematycznej obserwacji, ze znanymi chwytami metaforyki i ze specyficznym „językiem poezji”. Są wtórne, są swoistymi kopiami, ale nieraz nawet dość zgrabnymi. Powstał też model wiersza konkursowego, to jest rozgadany, dość inteligentny, ale jednak bełkot, który sugeruje, że autor ma coś do powiedzenia, podczas gdy powtarza motywy opisu trudnego życia w trudnym kraju, w trudnym mieście, w trudnej rodzinie, z trudną żoną lub mężem i wspaniałymi dziećmi, które są geniuszami, podczas gdy autor przeżywa gehennę. Niestety książek poetyckich ludzie-piszący-wiersze nie kupują i wątpię, żeby to się zmieniło. Nigdy zresztą poezja nie była dobrym towarem handlowym, nawet wśród poetyckich „zawodowców”. Nie musi być, bo nie o to w niej chodzi.

3. Na jakich zasadach i w jakich okolicznościach historycznych od 1918 do 2018 roku w polskiej literaturze powracał paradygmat romantyczny?

Myślę, że w polskiej mentalności od zawsze tkwi program śledzenia niepewności bytu państwowego i potrzeby chronienia kraju oraz jego ludzi. To wymaga swego rodzaju myślenia nawet teraz, mimo że od II wojny światowej minęło ponad siedemdziesiąt lat. Przecież po 1918 już w 1920 r. zostaliśmy zaatakowani przez bolszewików. Ledwie się uspokoiło i zaczęło jako tako gospodarzyć, przyszedł kataklizm września 1939, który trwał do 1945 r., aby Polska weszła w skład imperium Związku Sowieckiego. Więc znów niewola. Dość specyficzna, ale jednak.

Okres od 1946 to mój czas, więc wiem, że znośłem to dzielnie, ale codziennie z poczuciem, że nie jestem wolny. Ba, dzisiaj też mam takie wrażenie. Chcę, by Polska istniała, bo jest to jedyne wyjście dla Polaka, który w wypadku przejścia państwa przez sąsiadów jako Polak automatycznie stanie się człowiekiem najniższej kategorii. Nic się pod tym względem w historii nie zmienia, potrzebny jest więc mechanizm duchowy, który pozwoli myśleć o walce i przetrwaniu, a jedyne, jaki się nasuwa, ma cechy romantyczne. Jest też religia, ale to temat odrębny.

Pozytywizm, jak wiadomo, nie sprawdził się w żadnej mierze, co najwyżej zwyrodniał do postaci scjentyzmu. Romantyzm natomiast jest nadal nośny, a wobec rozwoju technik pisarskich, wysokiej świadomości i talentu współczesnych pisarzy ma szansę być podany w sposób nienatarczywy, niemoralizujący i estetyczny, opakowany za pomocą technik modernistycznych nie do poznania. Podejrzewam, że niejednemu pisarzowi uda się jeszcze stworzyć takie imitacje rzekomej ponowoczesności literackiej, że czytelnik podstępnie nie zauważy.

Myślę, że trwająca obecnie kulturalna hegemonia (a może raczej „przewaga ze względu na obrazkowość”) filmu zostanie wyrównana, ponieważ w świadomości odbiorców gatunek ten coraz bardziej ubożeje. Widzowie dostrzegają to szczególnie podczas telewizyjnej konfrontacji filmu widzianego w kinie. To drugie oglądanie pokazuje niestęchaną skrótość obrazowania, okrawanie sylwetek psychologicznych, odcinanie elementów przyjemnościowych treści, trywializowanie wymowy ideowej, pudełkowość konstrukcji fabularnej. W zderzeniu ze słowem noweli, powieści czy dramatu jest to klęska intelektualna. Do rzadkości należą filmy zrobione tak jak u Filipa Bajona, w sposób bliski pełni opowiadania. Ale Bajon to pisarz pełną gębą i wie, jak się z tym uporać.

Przejawem tego, że film powoli zaczyna przegrywać, jest popularność na przykład prozy Cherezińskiej, Helaka, Holewińskiego, Ławrynowicza, Strękowskiej-Zaremby, Piekarskiej. Jest wielu innych, którzy powoli przechwytyją literackie formy nowoczesnego obrazowania, oddziaływania przez druk na korę wzrokową. Technika ta zyskuje coraz lepsze realizacje. Na razie dominuje w literaturze opartej na faktach, ale już jest widoczna w tak zwanej fikcji.

Odtwarza swoją pozycję proza dla dzieci i młodzieży, i jest to tendencja bardzo wyraźna. Choćby na targach książki w Warszawie czy Krakowie widać, jak ogromne jest nią zainteresowanie.

Gdybyż jeszcze odrodziły się księgarnie i ludzie sobie o nich przypomnieli, może nie cisnęliby się tak przy stoiskach z książkami jedynie w maju. Myślę, że „najnowsza” młodzież już nie zachłystuje się smartfonami i gramami, ale widzi je w sposób naturalny, jako dobro zastane, i między elementami tego dobra książka zaczyna znajdować swoje miejsce jako dobro równoprawne albo i ciekawsze. Duża w tym pomoc szkoły. Spodziewam się, że ciągłość szkoły podstawowej po likwidacji gimnazjów będzie sprzyjała powrotowi literatury do kręgu zainteresowań pewnej (podobnej procentowo do tej z lat 60.) liczby uczniów.

4. Jakie miejsce zajmowała w literaturze polskiej problematyka społeczna w 1918 roku, a jakie zajmuje 100 lat później? Na jakie kwestie społeczne zwracano szczególną uwagę wtedy, na jakie zwraca się dzisiaj?

Trochę już o tym wspominałem. Tu dodam jedynie, że problematyka społeczna, dość wycinkowo i schematycznie ujmowana w literaturze pozytywistycznej, wróciła

w lepszych proporcjach w drugiej połowie lat 70. To z tego powodu niektórzy badacze literatury mówili, że wspomnianą wyżej tak zwaną rewolucję artystyczną cechuje socjoparnasizm. Nie, zainteresowanie dołami socjalnymi albo stosunkami społecznymi w ogóle, a także pozycją społeczną jednostek nie musi być (i nie było!) wyrazem postawy politycznej wobec obowiązującego systemu. Pojawiły się liczne utwory prozatorskie, czasem pod wpływem takich między innymi pozycji zachodnich, jak powieści wczesnego Williama Faulknera (genialny *Azyl*) czy Alana Sillitoe (powieść *Z soboty na niedzielę*, opowiadanie i film *Samotność długodystansowca*), które otworzyły oczy wielu próbujących pisać o tym świecie, naszym świecie z naszymi ludźmi. Dziś literatura „społeczna” to codzienność, ale w czasach startującej w latach 70. rewolucji artystycznej zainteresowanie tematami „spod ręki, z sąsiedztwa” rodziło się jeszcze w bólach. Dziwi mnie, że krytycy i literaturoznawcy zupełnie pomijają wpływ tamtej literatury na stan dzisiejszej. Moim zdaniem jest niewątpliwy i ważny, co bardzo łatwo wykazać metodą komparatystyczną. Niektórzy znaczący obecnie prozaicy (nie chcę pokazywać palcem) zdziwiliby się, jakie można u nich znaleźć paralele stylistyczne, językowe, tematyczne, moralne z prozą Słyka, Bittnera, Sołtysika, Krystyny Kofty czy Łuczeńczyka lub starszego od nich Nowakowskiego. Doprawdy, sporo załamania stwierdzam w diagnozach pewnych znawców literatury z lat 80. i 90. i uważam je za manipulację dokonywaną przeciw Henrykowi Berezie, w konsekwencji powodujące utratę oglądu literatury z prawdziwej perspektywy.

5. Jakie czynniki wewnętrzne i zewnętrzne w największym stopniu podniosły dynamikę rozwoju literatury ostatniego stulecia?

Zmiany technologiczne przekazu treści i obrazów. Wymieniam chronologicznie: kino, radio, kino dźwiękowe, telewizja, komputer, sieć komputerowa, miniaturyzacja komputerów (smartfony i pokrewne). To one poprzemieszczały wartości kulturowe i ogólniej humanistyczne między sobą, ale stan równowagi jeszcze nie nastąpił i można żywić obawy, że długo nie nastąpi, bo czekają nas dalsze zmiany, między innymi rozwój mediów wirtualnych w dużym stopniu eliminujących kontakt z rzeczywistością. O ile ludzkość się przeciw temu wreszcie nie zbuntuje! Nie wiem, czy to wszystko ma wpływ dopingujący literaturę, czy hamujący. Wydaje mi się, że raczej to drugie i że dodatkowo literatura coraz bardziej wpada w pułapki komercyjności.

6. Czy Pana zdaniem w ciągu ostatniego stulecia formy i style życia literackiego zmieniły się w sposób znaczący? Jeśli tak, to w jaki?

Tak. Zanikł kontakt między pisarzami, a jeśli pozostał, to nie ma charakteru zawodowego, ale raczej towarzyski, wspierający duchowo, nie ideowo czy intelektualnie. Dawna kawiarnia literacka miała ograniczony zasięg, jednak istniała. Dziś nie ma jej wcale i nie zanosi się, aby się odtworzyła. Pisarze nie są zainteresowani tym, co robią koledzy, są znacznie bardziej zadufani w sobie, nie korzystają ani z rad, ani z koleżeńskich recenzji. Dodatkowo zanikła krytyka literacka, jest obecnie

szczątkowa. Przeważają informacje wydawnicze o typie newsów. Recenzje są zamawiane przez wydawców za pieniądze, dlatego rozsądni ludzie traktują je przeważnie bardziej jako reklamy niż teksty prawdziwe o książkach. Wyjątki tylko potwierdzają regułę.

Uważam to zjawisko za niebezpieczne, bo coraz więcej pojawia się prozy o niskiej wartości artystycznej, ale atrakcyjnej czytelniczo (dotyczy to głównie biografistyki i tak zwanych wspomnień, sztucznie tworzonych przez celebrytów). Niebezpiecznie przesuwają się granice między tak zwaną fikcją a dokumentem – w stronę literatury faktu, co powoduje rugowanie tekstów koncepcyjnych i ideowych, opartych nie tyle na relacji z historią czy współczesnością, ile na wizji, czyli przetworzeniu rzeczywistości do postaci owej fikcji. Tendencji tej ulegają między innymi wydawcy, którzy coraz niechętniej przyjmują do wydania fikcję, nie sprawdzając wcale, czy przypadkiem sami sobie nie szkodzą, eliminując teksty wartościowe również handlowo, nie tylko artystycznie. Znam kilkadziesiąt takich pomyłek edytorskich (na dwóch doskonale zarobiłem jako wydawca, który przejął odrzucone pozycje i je wydrukował) i uważam, że błędy tego rodzaju są popełniane coraz częściej.

7. Jakie miejsce na świecie zajmuje literatura polska współcześnie, a jakie zajmowała 100 lat temu?

Sto lat temu za granicą mówiono o Sienkiewiczu przez pięć lat po jego Noblu. Nobel Reymonta już tak nie działał. Wydaje mi się, że poza noblistami i w pewnej mierze Gombrowiczem, Kapuścińskim oraz Kuśniewiczem świat w ogóle niewiele wie o polskich prozaikach. Zdarzają się okresowe wzloty, pamiętam dwuletnie ogólnoeuropejskie zainteresowanie powieścią Andrzeja Żmichowskiego pod tytułem *Szczur* albo krótkotrwałe, lecz intensywne zachwyty Niemców nad prozą Andrzeja Szczypiorskiego. Zagranica wie o nas mniej więcej tyle, ile polscy profesorowie literatury współczesnej. W moim odczuciu u większości z nich (ale nie u wszystkich, podkreślam) wiedza o najnowszej literaturze zatrzymała się na końcu lat 70. i jest sztukowana niektórymi (nie wszystkimi, o nie!) nazwiskami, które wiążą się z nagrodami im. Kościelskich, Nike, Norwida, miasta Gdyni, ewentualnie Identitas.

Inaczej jest za granicą z naszą poezją. Dokąd w Europie i Ameryce Północnej nie trafię, wszędzie znają polską poezję, cenią ją i podziwiają, nieraz przywołują zaskakujące nazwiska, które sprawdzam po powrocie, bo ich wcześniej nie znałem; a jeśli nie znają nazwisk, to ogólnie słyszeli, że jest to poezja bogata i bardzo dobra formalnie. W każdym mieście uniwersyteckim w USA jest jakaś grupa albo klub o nazwie „Herbert” (ku czci Zbigniewa), tak też jest w Japonii. Często w jakimś kraju, na miejscu, pojawia się Polak (Polacy są wszędzie), który migiem a dobrze tłumaczy na miejscowy język jeden, dwa utwory i potwierdza się, że są to dziełka bardzo dobre, oryginalne lub „dziwne”, ponieważ miejscowi się nimi cieszą. Takie relacje mamy od wielu kolegów ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, osobiście też miałem okazję się o tym przekonać. Tak może być nadal, ale przydałaby się pomoc państwa polskiego, bo z poezji żyć się nie da, a wydawanie książek i przejazdów sporo kosztują.

Natomiast taka reklama Polski jest bardzo skuteczna. Poezja to niezły towar, tylko ojczyzna nie chce go ani promować, ani sprzedawać. Nie dziwię się, że pisarze stoją okoniem wobec władz.

Może warto przypomnieć, że pisarze nadal są bardzo silną grupą opiniotwórczą. Mają wpływy znaczne, choć niekoniecznie rzucające się w oczy. Piszą sprawnie i mówią też niezgorzej. Wiedział o tym Cezar, wiedziała komuna, dlatego od początku III Rzeczypospolitej do dziś władze tego już nie wiedzą?

8. Jak ewoluowały relacje literatury polskiej z literaturami obcymi w latach 1918–2018?

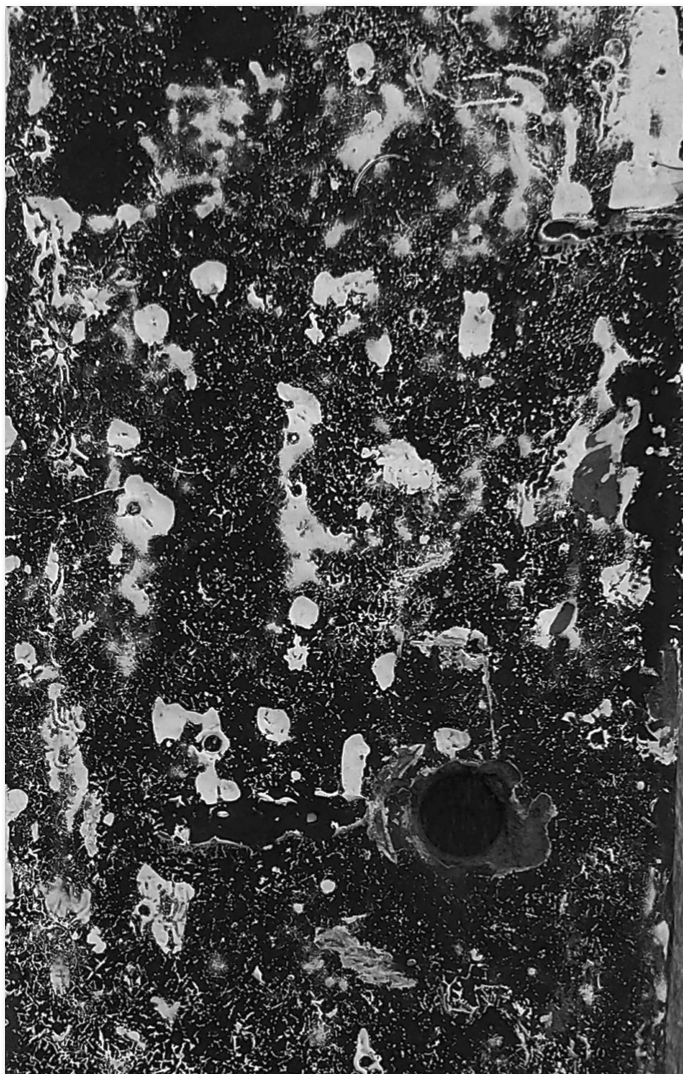
To są dwie sfery, raczej odrębne. Obie prywatne.

Sfera pierwsza, stosunki dwustronne. Dziś relacje te opierają się na wzajemnych przekładach i związanych z tym kontaktach osobistych pisarzy polskich i obcych, bardzo zresztą trudno uchwytnych, bo wymiana informacji w Polsce jest raczej słaba, żeby nie powiedzieć znikoma, wiadomości o tym nie docierają do kolegów. Sam przetłumaczyłem trochę książek angielskich oraz amerykańskich i to jest ten najczęstszy sposób utrzymywania kontaktów, bardzo sympatyczny, ponieważ wiąże się z zarobkiem, wymianą i współpracą intelektualną, co obie strony bardzo rozwija zarówno językowo, jak i ogólnie. Osobiście utrzymuję kontakty z kilkunastoma kolegami z Europy, niekiedy tylko zdawkowe, okolicznościowe, raz do roku, ale i one mają sens; z dwoma kolegami z USA i po jednym z kilku krajów Ameryki Południowej. Trzeba jednak zauważyć, że dawny styl przyjaźni głęboko sięgającej w relacje osobiste rzadko dziś występuje, przeważają sytuacje interesowne. Mimo to bez żadnych zobowiązań gościłem u pisarzy zagranicznych, a oni gościli u mnie, i wspominam te spotkania z ogromną satysfakcją. Jeśli jest to jakaś miara tego, co czynią także inni polscy koledzy, to chyba nie jest źle.

Sfera druga, relacja jednostronna w postaci lektur literatury obcej i ewentualnie udziału w konferencjach lub festiwalach (te ostatnie są przeważnie poetyckie). Byłem na kilku takich imprezach, zawsze na zaproszenie prywatne, osobiste, bo nasze władze tym się nie interesują. Mają kilka nazwisk, które promują, i to wszystko. Na spotkaniach tych trzeba intensywnie dbać o swój wizerunek, o właściwą prezentację swoich walorów literackich i osoby, słowem o interes, zachowując się jednak dyplomatycznie, bez nadmiernego narzucania się. Ten świat jest diabolicznie skomercjalizowany i wrażliwy na niezręczność autoreklamy.

Jest jednak faktem to, że kontakty tego rodzaju umożliwiają lub poprawiają zainteresowanie mediów, co jest istotnym warunkiem zaistnienia na rynku zagranicznym. Ważne są też osobiste – podkreślam: osobiste – kontakty z tłumaczami, wydawcami. Nie wystarczy stać setek e-maili ani telefonować. Trzeba znać przynajmniej jeden „duży” język obcy, pojechać tam i liczyć na siebie. Nie spotkałem się z pomocą ze strony polskich instytucji, które zostały powołane do promocji naszej literatury za granicą. Wielokrotnie takiego wsparcia mi odmówiono, raz nawet w sytuacji,

kiedy otrzymałem zagraniczną nagrodę literacką (Francja, 2008). Podczas wręczenia nagrody nie było żadnego przedstawiciela ambasady czy konsulatu polskiego, żadnego dziennikarza, a z polskich gazet dwulinijkową informację zamieściła jedynie „Rzeczpospolita”, i to dopiero po dostarczeniu przeze mnie pierwszych stron dzienników francuskich. Z tego, co mi mówią koledzy pisarze, wynika, że nadal jest z tym źle.



Fot. Anna Matysiak